Dodatek do Nr. 2 „Prawdy".

RODZINA

PISMO POŚWIĘCONE WYCHOWANIU I NAUCE DOMOWEJ.

Numer 1. Sobota, dnia 11-go Stycznia. **Rok 1908**

A. GENNEVRAYE.

ULICZNIK.

POWIEŚĆ Z FRANCUSKIEGO.

I.
Pierwsze spotkanie.

— Zapałki! Zapałki chemiczne!

— Dawaj, mały! Co kosztuje pudełko?

— Dwa su (fenygi), panie żołnierzu.

I malec śpiesznie podsunął pudełko siedzącemu na ławce staremu weteranowi.

Sierżant Gaveau (czyt. Gawo) obejrzał je uważnie, otworzył, zamknął, wyjął nakoniec zapałkę, potarł o ławkę, lecz zgasła. To samo zrobił z drugą, trzecią, opróżnił wreszcie pudełko, ale żadna się nie zapaliła.

— Śliczna historya! Czy wiesz, że to oszustwo?

I stary wojak spojrzał groźnie na kilkoletniego chłopczynę który stał przed nim zmieszany i zarumieniony.

— To pod mostem tak zawilgły, — tłómaczył się drżącym głosem.

— Pod mostem? A cóżeś ty robił pod mostem Łobuzowałeś, hę? grałeś w guziki z takimi jak sam urwisami o pieniądze, które ludziom wyłudzasz?

— Nie, panie żołnierzu, ja spałem.

— Spałeś? A to co znowu? A rodzice?

— Nie mam rodziców.

— Hm!... to co innego. A może to nowe oszustwo?

I weteran ujął chłopca za rękę, pociągając go bliżej do siebie.

Malec przestraszony szarpnął się, chcąc uciekać, lecz ręka, która go trzymała, była silną, i nie upłynęła sekunda, jak mały roznosiciel znalazł się na ławce, obok starego żołnierza.

Był to ciemnowłosy chłopczyk, o bladej twarzyczce i dużych, smutnych, czarnych oczach. Te oczy biednego dziecka, jakby wzywające opieki, pociągnęły ku niemu serce weterana.

— No, dalej, śmiało, powiedz-no mi co o sobie. A nie kłam! Sapristi! tego nie znoszę.

Chłopiec milczał, spuścił głowę i machinalnym ruchem liczył swoje pudełka.

— Nie bójże się, — zachęcał sierżant. — Nie jestem przecie zbójem, a dzieciom krzywdy nie robię. Jak dawno straciłeś rodziców?

— Nie wiem.

— Nie pamiętasz ich wcale?

— Nie miałem ich, znaleziono mię pode drzwiami gdzieś.

— Tam do licha! I któż cię znalazł?

— O! bardzo dobra kobieta. Nazywała się pani Menard. Całowała mię często i dawała różne smaczne rzeczy do jedzenia. Była mleczarką. Pamiętam wielkie, żelazne, białe wewnątrz garnki, w których przechowywaliśmy mleko i śmietanę.

— I cóż się stało z tą twoją mleczarką?

— A nic, umarła. Miałem sześć lat wtedy. Przyniesiono ją z ulicy nieżywą.

— Do licha! — mruknął sierżant. — I któż się tobą zajął?

Chłopiec ruszył ramionami.

— Przyjechali ze wsi rodzice pani Menard i zapytali, kto jestem.

— Podrzutek, — opowiedziała sąsiadka.

— Podrzutek! — zawołał pan bardzo gruby, ojciec pani Menard, — to go trzeba oddać do przytułku. Mam dosyć swoich dzieci i nie myślę kłopotać się jeszcze tym znajdą.

— A to nikczemnik! — krzyknął sierżant. — Ale cóż dalej?

— Na drugi dzień z samego rana mieli mię odprowadzić do przytułku, ale przyszła matka Potard, która mieszkała naprzeciwko, i powiedziała, że mię zabierze do siebie.

— Jest już duży, — mówiła, — i może mi być pożyteczny.

— A to zabierz go pani sobie, — odpowiedzieli rodzice pani Menard.

Moja nowa opiekunka wzięła mię za rękę i zaprowadziła do swego domu.

— Zacna kobieta! — zawołał sierżant wzruszony.

— O, nie! wcale mi się nie podobała, i zaraz pomyślałem sobie, że wolałbym iść do przytułku. Ale nikt mię o to nie zapytał, i poszedłem za matką Potard. Była to przekupka, musiałem jej obierać kartofle i skrobać ryby.

— Ale za to cię żywiła, miałeś dach nad głową i nie cierpiałeś głodu.

— E! gdzie tam, proszę pana. Matka Potard była bardzo skąpa. Pracować tu musiałem. Cały dzień nieraz biegałem po mieście, a wieczorem trzeba było zmywać statki, nosić węgiel i wodę. Przytem biła mię o byle co.

— Więc źle ci było u niej?

Chłopiec podniósł głowę.

— Gorzej niż psu, panie żołnierzu! — zawołał z żywem oburzeniem. — Nigdy nie byłem syt, a jeśli sięgnąłem czasem po rumiany, pachnący kartofel, kiedy je wyjmowano z pieca, biła mię po ręku wielką, żelazną łyżką, albo obsypywała gorącym popiołem.

— A to sekutnica ta twoja matka Potard!

— O, tak! zła była okropnie. Więc też po kilku miesiącach nie mogłem już prawie chodzić, nogi uginały się pode mną, i zamiast rosnąć, codzień stawałem się mniejszy.

Sierżant poruszył się niecierpliwie.

— I jesteś dotąd jeszcze u tej niegodziwej baby? — zawołał gwałtownie. — Zaprowadź-no mię do niej. Już ja się z nią rozmówię!

— Ehe! już rok przeszło, jak od niej uciekłem! Posłała mię raz daleko za sprawunkami. i wtedy pomyślałem sobie: „A gdybym też nie wrócił?“ Było to w lecie, dzień był strasznie gorący, dusiłem się w sklepie matki Potard, a przytem nie mogłem już jeść kartofli, a nic innego nie dawała mi nigdy. Mam umierać z głodu, pomyślałem, to lepiej na ulicy, niż w tym dusznym sklepie, i zamiast wrócić, poszedłem sobie wzdłuż bulwarów nad rzeką, przypatrując się, jak psy się kąpią. Naprzeciwko Tuileryów, spostrzegłem młodą i ślicznie ubraną panią i małego jak ja chłopczyka, schodzącego na dół po wschodkach. Panicz prowadził na sznurku białego pieska, który skakał i szczekał wesoło, co było bardzo zabawne. Naraz chłopiec rzuca w rzekę swój bacik, a pies skacze, aby go pochwycić, ale młody pan zapomniał puścić sznurek, na którym pies był przywiązany, i — raz, dwa, trzy! chlup! już niema tego chłopczyka. Tylko nogi zostały na brzegu. Poskoczyłem co prędzej i chwytam, a tu pani nadbiega z wielkim krzykiem i płaczem... Wyciągnęliśmy go zmoczonego zupełnie.

— Weź go pod rękę — rzekła pani — i pomóż mi zaprowadzić na górę; powóz czeka na bulwarze.

Wprowadziliśmy go po wschodkach i umieścili w powozie; stangret poruszył lejcami.

— Ach, byłabym zapomniała o tobie, moje dziecko! — zawołała pani. — Jak się nazywasz?

— Izydor.

— A twoi rodzice? (Zawsze mię o to pytają!)

— Nie mam rodziców.

— A gdzie mieszkasz?

Nie chciałem powiedzieć.

Wtedy pani otworzyła portmonetkę i rzuciła mi 20 franków, ale twarz jej nie była już tak łagodna, jak przedtem. Powóz ruszył.

— Jak to dawno? — przerwał sierżant.

— O, rok już przeszło!

— No, i jakże sobie odtąd radziłeś?

— Ba! jak się dało. Z początku myślałem, że jestem bardzo bogaty, kiedy mam 20 franków; pierwszy raz w życiu zobaczyłem wówczas złotą monetę.

I malec z uśmiechem spojrzał na sierżanta, pokazując białe, zdrowe zęby.

— I cóż zrobiłeś z tem złotem?

— O, nie zawsze jest się rozsądnym! — odparł z westchnieniem i nagłą powagą. — Naprzód zafundowałem sobie porządny obiad za całe 20 su i po raz pierwszy skosztowałem wina...

— I zaprószyłeś sobie głowę?

— Nie wiem, ale tańczyłem, wychodząc z restauracyi, zupełnie tak samo, jak para młodych Włochów, których spotkałem na bulwarze. Zaprosili mię, żebym się do nich przyłączył.

— Chodź z nami — mówili — będziesz się dobrze bawił, ludzie będą myśleli, że jesteś z Neapolu, jak my.

Poszedłem z nimi. Dziewczynka nazywała się Zita, a jej brat starszy, Karlo. Zaprowadzili mię do małego zajazdu, gdzie jakiś czarny, brodaty mężczyzna zapytał na samym wstępie, ile przynieśli pieniędzy.

— Ja trzy franki, a Karlo cztery — odpowiedziała Zita.

Przyjęcie było dobre.

— A to co za urwis? — spytał po chwili, patrząc na mnie. — Czy umie tańczyć albo śpiewać?

— O, tak! — odpowiedziała dziewczynka — tańczy bardzo pięknie.

— Ale ja go nie chcę, mam z wami dosyć kłopotu.

— Nie będę pana nic kosztował — rzekłem — mam swoje pieniądze.

— Masz pieniądze? Pokaż...

Pokazałem mu tylko jedną pięciofrankówkę, gdyż miał takie złe oczy... Dobrze zrobiłem! Nie zobaczyłem jej więcej!

— To będzie na twoje utrzymanie — powiedział i schował ją do kieszeni.

Zacząłem płakać, ale Zita uszczypnęła mię w ramię i szepnęła do ucha:

— Cicho, zarobimy więcej.

— Więc zostałeś z nimi? — zapytał sierżant niechętnie. — To mi się nie bardzo podoba. Pięknych rzeczy mógł cię nauczyć opiekun, który cię ograbił na wstępie.

W tej chwili z poblizkiego Domu Inwalidów dał się słyszeć dzwonek wieczorny.

— Czas na mnie — rzekł weteran, podnosząc się żwawo pomimo drewnianej nogi. — A ty dokąd idziesz na noc?

— Widziałem, przechodząc, że skoszono trawę w Grenelle; wyśpię się doskonale, daleko lepiej niż pod mostem.

— A obiad?

— Mam 6 su; bułka i kiełbaska, to bardzo smaczne, a Sekwana nie wyschła przecież, można pić dowoli.

— Hm, nie chciałbym cię tak zostawić...

I stary wiarus dobył kraciastą chustkę, odwiązał węzełek i podał chłopcu 3 su.

— Mogę się obejść dzisiaj bez tytuniu — mruknął....

— Przyjdź jutro o czwartej, będę tu czekał na ciebie; dokończysz mi swojej historyi. A pamiętaj, żeby zapałki były suche, to ci wyrobię klientelę pomiędzy kolegami. Rozumiesz?

— Rozumiem, panie żołnierzu.

— Sierżancie. Nie widzisz, dudku, galonów?

— Do widzenia, panie sierżancie!

— Do widzenia!

Chłopiec oddalił się zwolna, częstując po drodze swoim towarem przechodniów; weteran patrzał

za nim i słuchał coraz słabiej rozlegającego się wołania:

— Zapałki! Zapałki chemiczne!

II.

Ulicznik.

Nazajutrz o godzinie czwartej, sierżant oczekiwał naprożno na umówionem miejscu nowego swego znajomego.

Minął kwadrans, jeden i drugi, zegar na Domu Inwalidów wybił wpół do piątej, chłopca nie było.

Weteran niecierpliwił się coraz bardziej, chmurzył czoło i uderzał laską o swoją drewnianą nogę.

— Stary głupcze, — mruczał pod nosem, — dałeś się znowu naciągnąć! Nie paliłeś przez cały wieczór, licho wie po co i na co! Zawsze ta nieszczęsna słabość do dzieci i to prawdziwie babskie serce!

Wtem na końcu alei, biegnąc pędem, ukazał się winowajca. Szybko zbliżył się do ławki, i ocierając rękawem spocone czoło, śmiało zajął miejsce obok sierżanta.

— Długo każesz czekać na siebie, — mruknął sierzant niechętnie. — Trzy kwadranse na piątą... W pułku za takie spóźnienie nie minęłaby cię doba aresztu.

— Nie moja wina, panie żołnierzu!

— Sierżancie! do stu piorunów!

— A, tak, sierżancie. Już szedłem — wtem patrzę — wesele! Zatrzymałem sią momencik, a tu już wychodzą z kościoła. Każą mi wołać karety, biegałem po cygara, rozprzedałem wszystkie zapałki. Dobry dzień miałem.

— Dużo zarobiłeś?

— Trzy franki.

— To je schowaj, a dobrze, żeby Włoch nie zobaczył, bo ci znowu odbierze.

— Oho! nie tak prędko! Dawno już nie jestem u niego.

— No, to gadaj. Cóż dalej? Gdzie się obracałeś?

— A na czem stanąłem?

— Ukradziono ci 5 franków i pozostało już tylko 14.

— A tak...

— Nazajutrz Arno, tak się mój pan nowy nazywał, przywołał mię do siebie i powiedział: „Jeśli nie przyniesiesz nic wieczorem, możesz nocować, gdzie ci się podoba, byle nie tutaj".

I wyrzucił nas za drzwi bez jedzenia.

— Chodź, — rzekła Zita, — musimy zarobić na śniadanie.

Byłem głodny i pomyślałem o swoich czternastu frankach, ale nie chciałem się do nich przyznać; obawiałem się Karla.

— Ho, ho! jesteś, widzę, podejrzliwy!

— Trudno!... Wszyscy mię zawsze bili.

— Biedny malcze!

I ręka starego żołnierza przesunęła się łagodnie po bladej twarzyczce dziecka.

— Udaliśmy się w stronę Bulońskiego lasku, — ciągnął Izydor dalej. — Było tam dużo ludzi; panowie i panie przejeżdżali powozami lub konno, zatrzymując się niekiedy i rozmawiając wesoło. Zita uderzyła w tamburino i potrząsając niem, zaczeła tańczyć. Karlo także. Ja usiadłem na ławce. Zauważyła to Zita i podbiegła ku mnie.

— Nic nie zarobisz, i Arno cię wypędzi — szepnęła.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z dziejów sztucznego światła.

I.

Ogień, do niedawna nieodstępny towarzysz światła, uważany przez starożytnych za jeden z czterech żywiołów, z których według ich pojęcia świat miał się składać, był od niepamiętnych czasów w poszanowaniu ludzkości, jako coś, bez czego ona prawie nawet chwili istnieć nie mogła.

Według mitologii greckiej Prometeusz uniósł ogień potajemnie z nieba w postaci iskry, tlejącej w wydrążonem drzewie, i przyniósł na ziemię, za co rozgniewany Jowisz przykuł go na wieczne czasy do skały. To pewna, że ogień, jako źródło ciepła i światła, wobec wielkich wówczas trudności rozniecenia go na nowo, przechowywano bardzo starannie, osobliwie w Atenach i w Rzymie, podniecając go nieustannie stosownymi materyałami i Westalki rzymskie, którym powierzono pieczę nad ciągłem jego utrzymaniem, karano śmiercią za zaniedbanie w tej mierze.

Kiedy udało się ludziom wzniecać ogień a tem samem i światło na zawołanie w razie potrzeby, nie wiadomo; to jednakowoż wydaje się dosyć pewnem, iż stało się to w pierwszem ludzkości zaraniu. Być wszakże może, że korzystano ze zapalenia drzewa przez piorun (stąd prawdopodobnie podanie o Protemeuszu) i utrzymano ogień przezeń rozniecony przez nieustanne zasilanie go stosownymi materyałami palnymi.

Bez względu, jak to było, to pewna, że już w odległych czasach przedhistorycznych utrzymywano ogień ,oczywiście, przez dokładania do niego drzewa i w ten sposób uzyskiwano potrzebne do sporządzania potraw ciepło i konieczne do spełniania różnych czynności w razie ciemności światło, a że w ówczesnym stanie olbrzymich lasów, a przy małej ludności nie było potrzeby szczędzenia drzew, przeto oczywiście, przez całe wieki, jeżeli nie tysiące lat, podtrzymywano, wobec wielkich trudności rozniecania na nowo, ogień raz powstały i korzystano z wywiązanego przezeń światła.

Ale z takiem utrzymywaniem ognia i nieodłącznego od niego światła, łączyła się bardzo wielka niedogodność dymu i sadzy, które czy to w pierwiastkowych domach, jako pierwszych stałych siedzibach ludzkich, czy w jaskiniach używanych za mieszkania, utrudniały ludziom pobyt i wszystko pokrywały czernią. Ale od czegoż doświadczenie i spostrzeżenie, od czego rozum? Przekonano się, że jedne gatunki drzewa o wiele lepiej palą się i więcej przytem wywiązują światła, niż drugie, iż mianowicie drzewa żywiczne palą się lepiej i więcej dają światła, niż drzewa chude, a zarazem twarde. Wtedy przeto, gdy przez spalenie drzewa chciano przedewszystkiem uzyskać światło, posługiwano się głównie łuczywem.

Ale doświadczenie pouczyło ludzkość jeszcze czegoś innego i czy to poddając zwierzęta działaniu ciepła wytworzonego przez ogień w celu spożycia czy je paląc bogom na ofiarę, przekonano się, iż ich tłuszcz pali się doskonale, gdy inne części, jak np. mięśnie i kości, ogień trawi tylko bardzo trudno. Wyzyskano to spostrzeżenie przedewszystkiem do otrzymywania światła i przez proste zanurzenie w tłuszczach naprzód zwierzęcych a następnie roślinnych, napawano niemi drzewo chude i uzyskiwano w ten sposób doskonały materyał do świecenia. Tak powstały pierwsze „pochodnie", jak już sama wy-

borna nazwa polska wskazuje, służące do oświecania drogi podczas pochodu w ciemności. Lecz duch ludzki nie poprzestał na tym materyale do świecenia, który zawsze jeszcze wydawał dużo dymu i sadzy. Zamiast napawania drzewa tłuszczami roślinnymi, lub zwierzęcymi, spróbowano wprost płynnych tłuszczów i włożywszy do nich łyko lub tkaniny, zapalano je na końcu wystającym z płynu tłustego, przez co powstawał mały ogień, służący tylko do świecenia. — W ten sposób uzyskano pierwotne „lampy", którym później, ze względów praktycznych i estetycznych, nadano kształt dzisiejsze nożyczki bardzo przypominający, z których dzióba w otwór zaopatrzonego, wystawał ów kawałek łyka lub tkaniny, który paląc się, wydawał światło. Tak powstały pierwsze lampy, na bardzo wielu starych pomnikach egipskich, greckich, rzymskich i innych wyobrażone, a nawet jeszcze teraz w starożytnych ruinach nieraz znajdowane. Jeżeli zaś tkaninę stanowiącą knot powlekano stałym tłuszczem, oczywiście zwierzęcym, otrzymywano „świece", również przydatne do świecenia.

Ponieważ światło w ten sposób otrzymywane, chociaż pod względem ekonomicznym, zdrowotnym i porządkowym stanowiło ogromny postęp w porównaniu ze stosami płonącego drzewa, miało tę wadę, że było słabe, wzmacniano je przeto w ten sposób, iż do stosownej podstawy przywieszonej u stropu mieszkania przytwierdzano takich lamp pierwotnych kilka, kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt; tak powstały pierwsze świeczniki, o których już Pismo święte wspomina, że były w świątyni Salomona, ale ze złota, i były w domach zamożnych Rzymian. Takie proste lampy utrzymywały się w starożytności całymi wiekami bez zmiany, a jeżeli w nich co zmieniano, to tyczyło się tylko wykończenia artystycznego, na które, jak się to mówi, sadzono się w dawnych wiekach, czego liczne i bardzo piękne dowody, świadczące o wysokiem poczuciu artystycznem w starożytności, znajdujemy w wielu zbiorach i muzeach europejskich. Powoli lampom tego rodzaju w krajach południowych oliwą, a północnych olejem rzepakowym napełnionych, nadawano kształt naczyń zamkniętych z otworem u góry dla knota.

PRAKTYCZNE RADY.

Świerzb.

Świerzb jest to zaraźliwa choroba skóry, spowodowana pasorzytem, który się gnieździ w skórze i który nazwano świerzbowcem.

Choroba ta udzielać się może nietylko przez bezpośrednie dotknięcie chorej osoby, lecz przenosi się także na zdrowych, gdy używają tej samej bielizny, odzieży lub pościeli. Najczęściej występuje u ludności wiejskiej i u robotników, żołnierzy i więźni, skutkiem braku czystości.

Malutkie to zwierzątko, które powyżej nazwaliśmy świerzbowcem, skoro dostanie się na skórę, zaczyna się zagłębiać pod naskórek tego biedaka, którego obrało sobie za schronienie i to najczęściej na rękach, stopach, około kostek, pod pachą, na piersiach, nigdy zaś na twarzy.

O istnieniu jego dowiadujemy się z bardzo nieznośnego świerzbienia, zmuszającego do drapania, a głównie wtenczas, gdy udamy się na spoczynek, który nam przerywa, bo wychodząc ze swoich kryjówek w skórze, odbywa wędrówki po całem ciele. To też jeżeli nie usuniemy go wnet, występują na skórze czerwone zabarwienia i pęcherzyki, wypełnione płynem. Pęcherzyki te przysychają i tworzą strupy różnej wielkości o nieprzyjemnym zapachu. I to już wystarcza do rozpoznania świerzbu. A jeżeli jeszcze przetniemy pęcherzyk a na zawartość jego popatrzymy przez szkło powiększające czyli lupę, to zobaczymy sprawcę całej choroby, a mianowicie to zwierzątko czyli pasorzyta i to pod postacią szarej lub różowej kropli, która pod silnem powiększeniem wygląda jak maleńki żółw.

Lecz co na to robić? Oto niezbyt jeszcze rozwiniętą chorobę można bardzo prędko wyleczyć, a to w następujący sposób: Naciera się całą skórę szarym mydłem, potem bierze się letnią kąpiel, skutkiem której skóra rozmięka a wtedy rozszerzają się otwory, zawierające pasorzyty. Po wyjściu z kąpieli trzeba natrzeć całą skórę maścią z 25 gramów siarki, 25 gramów węglanu potasu i 30 gramów tłuszczu. Jeżeli zaś nie ma pod ręką takiej maści, to można nacierać skórę olejkiem jałowcowym przypalonym albo terpentynowym, bo i one go zabijają. Środki te jednak należy pozostawić na skórze przez kilka godzin, potem wziąść znowu kąpiel. W ten sposób można świerzbowca wytępić do szczętu. z

Ponieważ jednak świerzbowiec może się gnieździć i w bieliźnie, odzieniu lub pościeli, należy je wyprać, wyczyścić i przez kilka dni wietrzyć. Ostrożności te są niezbędne w celu zapobieżenia powrotowi choroby, którą takie leczenie usuwa w zupełności.

ŻARTY.

TO NIE DOBRZE.

— Brał pan to lekarstwo, co panu zapisałem?
— Brałem.
— To dobrze. A kładł pan okład ciepły na żołądek?
— Kładłem, panie doktorze.
— To dobrze. A wypociłeś się pan?
— Paradnie, panie doktorze.
— To dobrze. A jak się pan dzisiaj czuje?
— O, daleko gorzej, niż wczoraj....
— To... nie dobrze.

Rozwiązanie łamigłówki zgłoskowej.

1) Azalja, 2) noga, 3) igła, 4) Ewa, 5) lato, 6) ananas, 7) sowa, 8) złoto. 9) York, 10) cebula, 11) 6, 12) Wacław, 13) Narew, 14) Aleksandrów.

ANIELA SZYCÓWNA.

Rozwiązanie nadesłali: Antoni Żydek z Nakła, Jadwiga Badura z Rożdzienia, Wiktor Gawlik i Rud. Hudzikowski z Starego Bierunia, Ludwik Piekacz ze Zgorzelca, Karolina K.... z Laurahuty, Walenty Szkoda z Zabrza, Józef Motaj z Godulahuty, Jan Mazelon z Bykowiny. Andrzej Mazelon z Bykowiny, Marcin Wiertelorz z Bykowiny, Paweł Ratka z Górnych Łazisk. Józef Suchy z Dolnych Łazisk.